Nr. 74. Lwów — Sobota dnia 30 Marca. Rok 189

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jako o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach it. d. i t. d. po 5 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesiecznie 1 zł. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 3 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: Rz. św. Kwiryna, Gr. Kiryla | Jutro: Rz. F. 5 Czarna, Gr. N. 5 Post. | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski. | Wschód słońca g. 5 m. 50, Zachód „ „ 6 „ 20 | Długość dnia g. 12 m. 30, Przybyło dnia od wczoraj m. 4

Przegląd polityczny.

Lwów 29 marca.

Cesarz Wilhelm w telegramie swym do Bismarka napisał, że zachowanie się parlamentu niemieckiego w sprawie uczczenia jubilata jest sprzeczne z uczuciami panujących niemieckich i całego narodu. Oświadczenie to niejako wywoływało tych, w imieniu których było dane, aby potwierdzili jego trafność i w ten sposób przyłączyli się do oburzenia, któremu cesarz dał wyraz. Zapewne wtedy nastąpiłoby rozwiązanie parlamentu, czego z innych powodów podobno życzy sobie rząd cesarski, bo zresztą po tak ostrem wystąpieniu monarchy przeciw uchwale parlamentarnej trudno się spodziewać dobrych stosunków między rządem a instytucyą prawodawczą. Dobrze postąpił parlament, czy źle, to inna kwestya, ale w każdym razie była to sprawa, w której narzucać mu swego zdania nikt nie miał prawa, albowiem była to kwestya nie polityczna, lecz kwestya uczuć, które uszanowane być muszą, gdy nie szkodzą państwu. Wrażliwy cesarz zatelegrafował do Bismarka co myślał i pewnie nie zastanowił się nad tem, że przez to wykopał przepaść między sobą a parlamentem. Zgodne to zupełnie z jego żywym temperamentem i z przekonaniem, któremu niejraz dawał wyraz, iż jego wola jest prawem dla wszystkich w cesarstwie. Omylił się tym razem, jak się i przedtem często mylił, a ta omyłka musi mieć przykrą konsekwencyę, którą można uchylić jedynie rozwiązaniem izby, wywołującej oburzenie panujących i narodu. To zadanie powinni byli cesarzowi ułatwić ci panujący, a także i naród, aby w ten sposób mógł rząd cesarski pod dobrym znakiem ogłosić wybory do nowego parlamentu, który jużby nie oburzał panujących, ani narodu. Tymczasem z monarchów tylko król wirtemberski i w. ks. wejmarski zadokumentowali telegramami do Bismarcka również oburzenie na parlament, a w. ks. badeński onegdajszą swą wycieczką do Friedrichsruhe okazał, iż się z większością deputowanych nie zgadza, co mu oczywiście wolno, jak każdemu innemu. — Wszyscy zaś inni monarchowie, a między nimi tak pierwszorzędni jak bawarski i saski, zachowali się zupełnie obojętnie. Naród także się rozdwoił; jedne rady gminne i miejskie uchwaliły złożyć hołd jubilatowi, inne odrzuciły podobne wnioski; odbyły się prawie we wszystkich miastach zgromadzenia obywatelskie, w wielu miejscowościach urządzono ich kilka, a wszędzie na jednych uchwalono złożyć hołd, na innych — nie składać. Ogólne tedy wrażenie jest takie, że parlament swem usposobieniem nie jest odosobniony. Wnet potem zaczęła opinia publiczna roztrząsać, czy dobrze się stało, że reprezentacya narodu doznała takiego upokorzenia ze strony cesarza i czy to, puszczone w niepamięć, nie będzie miało wpływu na znaczenie konstytucyjnego parlamentu. Powoli i zupełnie ze względów prawno-politycznych poczęła przybierać stronę parlamentu. Zdarzyło się jeszcze, że Bismark, który ze wszystkich swych psychicznych właściwości najżywiej zachował mściwość, rzekł w odpowiedzi na toast cesarski, iż od roku 1848 czynił tylko to, co mu nakazywało dobre zrozumienie interesów panującego, a kto tego nie uznaje, temu brak bardzo wiele w zrozumieniu monarchii. Był to nowy docinek parlamentowi, a zarazem już i wszystkim tym, którzy w radach miejskich i gminnych, oraz na licznych zgromadzeniach oświadczyli się przeciw hołłom. Tak osobiście dotkniętych było już bardzo dużo, a że Niemcy lubią hałas, więc powstał krzyk ogólny i rozwinęła się kłótnia w dziennikach Okazało się przytem, że jak zawsze, tak i teraz, po stronie hołdów i bismarkowstwa stoją liberałowie i junkrzy, wszyscy zaś inni stanowczo chwalą postawę parlamentu. Więc rozwiązanie jego, o którem głośno mówiono, jako o postanowieniu rządowem, okazało się środkiem tak bardzo wątpliwym, że lepiej go nie próbować, bo nowe wybory mogą dać jeszcze większy zastęp radykałów Richterowskich i socyalistów, a obozu katolickiego nie uszczuplić.

Wbrew tedy własnym przed kilku dniami przebąkiwaniom, zapewniają teraz półurzędowe dzienniki, iż rząd wcale nie myślał o rozwiązaniu parlamentu, a liberalne i junkierskie dzienniki dodają, że gdyby myślał, toby popełnił błąd fatalny, gdyż uchwałę w kwestyi hołdu Bismarkowi, która była zwykłym nietaktem, podniósłby do znaczenia aktu politycznego wielkiej dla państwa wagi. Takie jednak rozumowanie jest tylko wybiegiem, bo szło nie o scharakteryzowanie polityczne uchwały parlamentu, lecz o to, że skoro wedle konstytucyi władza wykonawcza jest równorzędnym czynnikiem z władzą prawodawczą, a między nimi zaś powstała przepaść, wypełniona obrazą, to one nie są do siebie dostrojone w sposób korzystny dla państwa, a zatem jeden z nich musi ustąpić, więc oczywiście parlament.

Kiedy tak sfery rządowe zrzekły się zamiaru rozwiązania izby, a liberałowie i junkrzy uznali to za dobre, natenczas radykalny obóz postanowił prowokować rozwiązanie. Stronnictwo Richtera zamierzyło wezwać izbę do dyskusyi nad telegramem cesarskim — i oczywiście ten pomysł ogromnie się podobał amatorom wszelkiej awantury. Z widoczną trwogą odezwały się natychmiast dzienniki liberalne i junkierskie, że cesarz jest osobą nieodpowiedzialną, a telegram jego nie był podpisany przez kanclerza, zatem to, co w tej depeszy było, nie jest wyrazem przekonań władzy wykonawczej i przeto nie podlega kontroli władzy prawodawczej. Ale ten trafny argument nie może przekonać tych, którym idzie jedynie o zrobienie skandalu. Zapewne tedy Richter otworzy szluzy swej warcholskiej wymowy, a socyaliści niezawodnie pójdą mu na rękę, ale przecie tym razem ani centrum, ani tembardziej Polacy z pewnością nie dopuszczą do takiego skandalu. Richter nie ma nic do stracenia; on może tylko pływać na wodnistych fluktach warcholstwa i to czyni, bo mu o nic więcej nie idzie, jeno o popularność wśród berlińskiego gminu. Socyaliści znowu upatrują dla siebie korzyść w każdem osłabieniu powagi monarchicznej. Ale katolicy, a zwłaszcza Polacy, nie mogą się niczego spodziewać ani od gminu, ani od socyalistów, ani w ogóle od żadnego stronnictwa. Dla nich jedna nadzieja w poczuciu sprawiedliwości króla Prus. Może ona zawieść, jak zawodziła nieraz, ale wiemy także, że i nie zawodziła, a ponieważ jest jedyną, a zatem wyboru nie ma, przeto tej ostatniej wyrzekać się byłoby szaleństwem i aktem samobójczym.

Zamach morderczy na chińskiego pełnomocnika Li-Hung-Czanga przerwał może na długo rokowania pokojowe, bo ów dostojnik, podobno przez jakiś chiński zabobon, nie chce pozwolić, aby mu obcy lekarze wyjęli kulę ze szczęki, w skutek czego lekka sama przez się rana może się zaognić i spowodować gorączkę. W takim razie Chiny będą musiały wysłać innego pełnomocnika, bo ci, co asystują Li-Hung-Czangowi, nie posiadają zapewne pełnipotencyi. Czyn fanatyka, który dokonał zamachu, oburzył na Japonię całą Europę, pochopną do gniewu tembardziej, że we własnym interesie pragnie ona zakończenia wojny chińsko-japońskiej. Od Londynu do Petersburga zaczęto mówić, że to Japonia z całym swym cywilizacyjnym pokostem, jest jednak krajem całkiem barbarzyńskim, skoro mógł się w niej stać taki fakt ohydny. Przypomniano także, że przed paru laty inny fanatyk godził był na życie teraźniejszego cesarza Rosyi — i już miano bezwzględnie potępić Japonię, ale na szczęście przyszło komuś w Paryżu na myśl napisać w dziennikach, że i w Europie bywają takie ohydne fakty, mianowicie anarchista Léauthier zranił w jesieni serbskiego posła Georgievica, a hiszpański jenerał Fuentes przed miesiącem rozbił pięścią twarz marokkańskiemu posłowi Sidi-Brissowi, przybyłemu do Madrytu także w nadzwyczajnej pokojowej misyi. Więc oburzenie na Japonią ostygło, zwłaszcza gdy nadeszła wiadomość, że mikado, jego żona, cały parlament, wszyscy dostojnicy okazują Li-Hung-Czangowi największe współczucie. Nie wiadomo jednak jeszcze, jak zechcą Chiny zużytkować ten zamach. Może wezmą go za powód do zerwania rokowań, bo właśnie donoszą, że japońscy ministrowie zażądali na pierwszem posiedzeniu konferencyi pokojowej oddania w zastaw kilku miast chińskich, jeszcze przez Japończyków niezajętych, a to jako rękojmi dotrzymania przez Chiny warunków pokojowych. Li-Hung-Czang podobno odrazu oświadczył, że to żądanie spełnione być nie może.

Tymczasem wojsko japońskie nie próżnuje. Odparte jednego dnia od wysp Pescadores, okręta japońskie wróciły ku nim nazajutrz, wysadziły piechotę na brzeg w miejscu niezaludnionem i niebronionem. Stamtąd ów oddział ruszył w głąb głównej wyspy i od strony lądowej zaatakował szańce. Nie przygotowani na to Chińczycy uciekli, a wówczas forteca morska i miasto poddały się nieprzyjacielowi.

W belgijskim parlamencie zrobili socyaliści ogromną awanturę, która może się skończyć ustąpieniem gabinetu. Rząd przedstawił projekt statutu gminnego, który postanawia, że radnym można zostać tylko po skończeniu trzydziestu lat życia i że wyborcami mogą być jeno ci członkowie gminy, którzy w niej mieszkają najmniej trzy lata. Otóż takie postanowienie bardzo daleko odbiega od socyalistycznego pojęcia, że każdy obywatel powinien mieć prawo głosu i prawo zajmowania wszelkich stanowisk, bez uczynienia zadość jakimkolwiek warunkom. Wystąpili tedy socyaliści bardzo ostro przeciw rządowemu projektowi i poczęli wychwalać komunę paryską z roku 1871-go jako wzór samorządu gminnego, a przytem w sposób bardzo obraźliwy odezwali się o wersalskich wojskach, które rozpędziły ową komunę. Za takie wycieczki prezydent Beernaert wezwał mówców do porządku, a wówczas jeden z nich ku nadzwyczajnej uciesze innych rzekł, że jeśli prezydent nie wzywa do porządku tych posłów, którzy o królu pięknie się odzywają, to nie ma prawa karcić innych posłów, odzywających się pięknie o komunie. Po takim wybryku powstał niesłychany hałas, obelgi krzyżowały się po sali jak rakiety, a ucichło dopiero wtedy, gdy prezydent oświadczył, iż zawiesi posiedzenie. Okazało się przy tej sposobności, że wielu posłów, należących do umiarkowanego stronnictwa i popierających rząd, ale wybranych przez wyborców z klasy najniżej opodatkowanych, z obawy o swe mandaty opuściło gabinet, który w skutek tego z tej sprawy statutu gminnego musiał zrobić kwestyę zaufania.

Korespondencye.

Wiedeń 27 marca.

Od kilku miesięcy już gotuje się tu cicha i zacięta agitacya przeciwko kapelom wojskowym. Jak wiadomo. kapele wojskowe grają tu nietylko w kawiarniach Prateru, w parkach w samym Wiedniu i okolicy, w Schönbrunnie, Hietzingu, Döblingu, Nussdorf i t. d., ale i w najznakomitszych od pół wieku co najmniej znanych restauracyach Stalchnera, Drehera, Gschwandnera i innych. Są to kapele wielkie, których produkcye możliwe są tylko w ogrodach, lub bardzo obszernych salach. To też obok tych kapel wojskowych istnieć muszą inne mniejsze, zdolne też do wykonania rzeczy trudniejszych i poważniejszych i poszukiwane przeto przez rozmaite stowarzyszenia, lub prywatnych miłośników muzyki, urządzających u siebie w domu uroczystości jakieś z koncertami połączone. Takiemi kapelami prywatnemi są znana powszechnie Straussa, która często dawała koncerty w Cursalonie, w ogrodzie obok Burgu, w parku przed ratuszem, dalej kapela Ziehrera, Dreschera, i wszystkie kapele teatralne. Tym kapelom i kapelmistrzom bardzo poszukiwanym nie może współzawodnictwo muzyk wojskowych żadnej uczynić ujmy. Inaczej jednak rzecz się ma z kapelmistrzami mniejszymi, którzy z powodu braku zajęcia nie są w stanie zorganizować należycie swej kapeli, nie mają sposobności ćwiczeń ze swoimi muzykami odbywać i tylko przygodnie na zamówienie pokątnych restauracyi zaimprowizowaną niejako orkiestrą popisywać się muszą, chociaż nietrudno byłoby w Wiedniu każdego czasu dobrać sił odpowiednich każdemu niemal kapelmistrzowi. Gdy jednak stałego zajęcia dla nich nie ma, przeto bez przesady: setki kapelmistrzów bez orkiestry błąkają się po stolicy. Żeby to mieli być sami dyletanci bez zdolności wszelkiej, żeby dopiero mundur wojskowy przynosił ze sobą wyższe pojęcie sztuki, w to chyba nie każdy uwierzy. Kapele wojskowe są tańsze, więc poszukiwane; poszukiwane, więc sposobność mające do wprawy. Prywatny kapelmistrz — nie będący wybitnym talentem — ginie.

Tyle przyznać wypada dla ilustracyi stosunków. Niestety, jak w każdym zawodzie, namnożyło się i tu bardzo wiele konkurentów niepowołanych. W Wiedniu nie ma prawie domu, gdzieby jakiegoś muzyka nie było. O fortepianach się nie mówi. W chwili, kiedy to piszę, gra ktoś nademną Reisingera walce „Weber's lezter Gedanke" a w przyległem pomieszkaniu rozlega się akompaniament do tego z Kutlaua sonatyn. Portyer domu jest stolarzem i fortepianistą i trudno orzec, który z trzech zawodów wypełnia gorzej. Dawniej grywał wieczorami w restauracyach; muzyka jego mało co go bolała, bo jest trochę głuchy od urodzenia, teraz w święta i niedziele na przeszłowiekowym instrumencie wypłasza ciężkiemi uderzeniami spracowanych rąk wszystkie mole zagnieżdżone w filcu pedału i w skórkach młotków. Mając zegarek oddać do naprawy, zwróciłem się do stróżowej, aby mi najbliższego poleciła zegarmistrza. Dowiedziałem się ze zdumieniem, że listonosz mieszkający w suterenie jest „znakomitym" majstrem od naprawiania zegarków. Zaszedłszy do niego, zastałem go nad wiolonczelą. Ćwiczył się pilnie, bo dwa razy w tygodniu grywał wtedy w orkiestrze u Ronachera. Ten listonosz-zegarmistrz-muzykant z rzadką dobrodusznością ofiarował mi nawet karty do Ronachera café chantant, gdzie właśnie jakaś nadzwyczajna akrobatka podziw budziła u widzów swojemi ewolucyami na trapezie. Co tu opowiadam, jest tylko jednym obrazkiem jednego domu, lecz nie żadnym wyjątkiem.

Niepodobna przecież kilku tysięcy skrzypków, flecistów i oboistów zaspokoić w ich pragnieniach lepszego zarobku, który im zamiast rzemiosł innych ma dać „sztuka". Jeśli znajdzie się jakiś talent organizacyjny, który kilku takich „wirtuozów" skupi i wyćwiczy, to przy pracy usilnej nie może mu zabraknąć zajęcia. Na taką organizacyę potrzeba jednak czasu a czas to pieniądze, zwłaszcza dla ludzi zajętych w innych zawodach. Wykombinowali to socyaliści i zarzucili sieć na różnych błędnych muzykantów i wmówili w nich, że dzisiejsza organizacya społeczna wszystkiemu winna. W przyszłej utopii zapewnie każdy muzyk — choćby zrodziło się tylu wirtuozów, ilu ludzi — znajdzie chleb i laury.

Otóż przez kilka miesięcy szczuto i nawoływano do demonstracyi, aż przedwczoraj w dość gwałtowny i wcale niemuzykalny wybuchła sposób. Umówiono się w trzech znanych restauracyach: Stalchnera, Wimbergera i Bauera przeszkodzić koncertom wojskowej kapeli. W niedzielę udało się Stalehnerowi, dzięki publiczności nierobotniczej, a zebranej w liczbie 1000 ludzi w jego lokalach, zapewnić spokojne odbycie się koncertu kapeli wojskowej. Robotnicy, widząc tak licznych gości, nie mieli odwagi zamącić spokoju, a garstka ich obecna w sali, słysząc demonstracyjne na cześć kapeli wznoszone okrzyki, wyszła z restauracyi. W poniedziałek rano jednak zebrało się bardzo wielu robotników u Stalehnera i postanowiło po południu obsadzić sale. Po ich odejściu Stalehner zamknął restauracyę i doniósł kapeli, że koncert się nie odbędzie. U Bauera natomiast (w Rudolfsheimie) udało się robotnikom przeszkodzić koncertowi już po jego rozpoczęciu, a w hotelu Wimbergera przyszło do krwawego starcia między nimi a policyą, przyczem sam Wimberger został zraniony. Z uwagi, że restauracye te po większej części żyją z zarobku niedzielnego, a robotnicy podobnemi demonstracyami wypłaszają im gości, kelnerzy i właściciele restauracyi zamierzają prosić namiestnictwa o ochronę przed dalszemi napaściami. Publiczność zresztą przywykła już do kapel wojskowych i innych nie chce.

Paryż 23 marca.

Ogromne wrażenie w całym naukowym i literackim świecie Paryża wywołało wystąpienie członka akademii p. Brunetière'a z artykułem p. t. „Po wizycie w Watykanie", ogłoszonym w ostatnim numerze *Revue des Deux monds*. Niezwykłe zainteresowanie się tym artykułem ma dwojakie powody, raz wzgląd na osobę autora, który jako krytyk literacki zajmuje pierwszorzędne stanowisko, a powtóre sam temat. W pracach swoich dotychczasowych Brunetière nigdy nie poruszał kwestyi religijnych i nikt nie przypuszczał, aby ten światowiec był chrześcijaninem głęboko wierzącym. To też gdy niedawno odbył podróż do Rzymu i był na audyencyi u Ojca świętego, oczekiwano, że owocem tej podróży będzie jakiś powabny szkic literacki, lub coś innego w tym rodzaju. Tymczasem p. Brunetière występuje z artykułem głęboko filozoficznym, w którym dowodzi, że nauka nie dotrzymała swych obietnic i nie może nam dać podstawy, na której społeczeństwa mogłyby oprzeć swą moralność. Tylko religia katolicka daje taką podstawę, jej zatem trzymać się powinniśmy, dziś bardziej może, niż kiedykolwiek. Trzeba bowiem koniecznie umoralnić masy, jeżeli walka społeczna nie ma przybrać form napadu dzikich na domostwo cywilizowanego człowieka. Tylko religia może zażegnać kwestyę socyalną, trzymajmy się zatem jej wszystkiemi siłami. Komu się pali dach nad głową, ten przedewszystkiem wody szuka bo tylko ona może pożar ugasić. Nam także grozi pożar socyalny, chwytajmy się więc tego jedynego środka, który może go ugasić, a jest nim tylko religia.

Artykuł ten wywołał oczywiście w całej prasie nadzwyczaj ożywioną dyskusyę. Pisma radykalne namiętnie napadły na autora, a Clemenceau w swoim dzienniku odsądził go wprost od czci i rozumu. Zrozumiałem jest to oburzenie radykalnego obozu. Całe stulecie pracował on nad tem, ażeby przedstawić religię jako śmieszny zabobon, a tu naraz człowiek tak wielkiej powagi naukowej, jak Brunetière, do tego taki skeptyk, który nim wyda swój sąd o jakiej sprawie, przypatruje się jej po dziesięć razy ze wszystkich stron, stawia kontrargumenty i robi formalne próby matematyczne, dochodzi po sumiennych badaniach do wniosku, że tylko religia może dać człowiekowi moralne podstawy i może zażegnać wszelkie burze, jakie wiszą nad ludzkością. Takie wystąpienie Brunetière'a nie może oczywiście pozostać bez wpływu, bo niejeden pomyśli sobie: „Skoro człowiek tak ogromnej inteligencyi i nauki jak Brunetière dochodzi do takich rezultatów, warto może i mnie zastanowić się głębiej nad tem, czy też on nie ma racyi". Jakoż rzeczywiście zaprzeczyć się nie da, że w społeczeństwie francuskiem zarysowuje się wielce znamienny zwrot uczuć w kierunku religijnym.

Jednym z najciekawszych objawów tego nowego prądu jest przemiana, jakiej uległ p. Valabregue. Nazwisko jego z pewnością nie jest obcem czytelnikom. Głośny to bowiem był farsista, a po śmierci Labiche'a rzecz można, że królował w świecie farsy francuskiej, a iżby tem lepiej uwydatniło się co niżej opowiemy, dodajmy, iż p. Albin Valabregue jest — żydem. Otóż z tym wesołym autorem, bystrym obserwatorem życia, doskonałym towarzyszem zabaw, stało się nagle coś niezrozumiałego dla jego znajomych. Zrobił się on poważnym, począł stronić od licznych zabaw, od teatru, zaprzestał nawet pracy komedyopisarskiej, przesiadywał najchętniej w domu przy czytaniu poważnych dzieł, a jeśli się odezwał, to tylko w jakiejś kwestyi poważnej, filozoficzno-religijnej, nie rzadko zabarwionej chrześcijańskim mistycyzmem. Powód i historya owej przemiany jest taka.

Jeden z dobrych znajomych p. Valabregue'a pożyczył mu raz do przeczytania dzieło któregoś z apologetów Kościoła Valabregue, który zrazu dość niechętnie wziął się do tej lektury, zachwycił się nią wkrótce tak, że zapragnął coraz to nowych dzieł tego rodzaju, coraz to głębszego poznania religii chrześcijańskiej, od-

14)

ILUZYA

OPOWIADANIE

przez *Zofię Kowerską.*

(Ciąg dalszy).

Teraz widziałem, że nauka nie poszła w las. Sprytna panienka skorzystała z moich morałów i jeszcze ciepłe, podawała mi ich zastosowanie. Ona pracowała! Te delikatne, cienkie palce małej rączki pracowały. To rzeczywiście było niezrównane! A może ona nie kłamała? Może, wychowana w licznej a ubogiej rodzinie, miała w roboczym ulu swój wydział pracy? Sceptyk, zaczajony w mojej piersi, gniewał się na to przypuszczenie. Praca była komedyą kobiecą, pozą, blagą! Jedno w tej dziewczynie było prawdą, to jej prześliczne oczy czarne, jej płeć alabastrowa, jej buzia do pocałunków stworzona! To było prawdą, i ja, poważnie na życie patrzący, ja, szukający w małżeństwie wypoczynku i spokoju, a, chcący dać matronę mojemu domowi, a matkę wzorową moim dzieciom, pokochałem tego motyla, tę różę!...

Na parę dni przed balem, Zosieńka doznała poważnego zmartwienia. Odebrała list od Józi Nolczyńskiej, która szła za mąż. Pokazało się, że w ich umowie był punkt, że jeżeli jedna z nich pójdzie za mąż, umowa tem samem i cały zamiar, upadały. Zosi okropnie było przykro za te wszystkie sieroty, które nadal wystawione będą na okropne obchodzenie się z niemi niegodziwych kobiet i w ogóle, osób nie powołanych.

Dokuczałem jej Józią Nolczyńską.

— Więc teraz — rzekłem jej — pani także może pójść za mąż, nie naruszywszy kontraktu.

— A, tak — odparła zasmucona — mogę pójść za mąż!

— I nawet sposobność jest doskonała. Karnawał się rozpoczyna, byle chcieć, można złapać męża.

— Jak się to łapie męża? — zapytała.

— Panny wiedzą to zwykle bez nauki, ale nauczyć mogę. Męża łapie się, jak rybę. Zarzuca się wędkę, tylko na przynętę, zamiast robaka, kładzie się spojrzenia zalotne, uśmiechy zachęcające, udaną słodycz, łagodność, bezinteresowność, szlachetność, wzniosłe uczucia. Zaś łapany mąż powinien być grubą rybą, nie dyską, ale sturublówką.

Zamyśliła się. Oczęta jej czarne, jeszcze bardziej zczerniały, jak woda w miejscach głębokich. Patrzała przed siebie, milcząc.

— Przysiągłbym, że pani już układa plan kampanii — ozwałem się, czyniąc sobie temi słowy dojmującą przykrość.

Nie odpowiedziała. Zaczerwieniła się tylko, jak jutrzenka pogodnego dnia.

— Niech pani przyzna, niech pani powie szczerze, o czem pani myśli! — nalegałem.

— Myślę i szukam w mojej pamięci.... i nie znajduję.... nie pamiętam żadnego takiego postępku, któryby mi mógł ściągnąć pogardę pana.

— Moją pogardę!

— Pan postępuje ze mną, jak z istotą, którą się pogardza.

Rzuciłem się ku niej pełen żalu, bólu i chęci przebłagania jej.

— Ja miałbym panią pogardzać? Panno Zofio, zkąd pani taka myśl przyjść mogła? Na miłość Boską, pani mi czyni zarzut tak niesłuszny!... Jakże można przypuszczać coś podobnego? Na jakich faktach pani to opiera?

— Nie ma może dotykalnych faktów, ale ja to odczuwam w każdem słowie pana, w każdem spojrzeniu.... Pan źle ze mną postępuje. Łamię sobie głowę... czy to miałoby być dlatego, że pan jest sturublówką, ja zaś jestem dyską, a może tylko groszem?

— Co pani mówi? Co za niedorzeczności pani mówi? Jak pani może!

Wziąłem jej rączki, trząsłem niemi, jak gdybym ją chciał ocucić z niedorzecznego snu...

— Nie może być, żeby pani to myślała!

— Myślę to!

Chciałem zajrzeć w jej spuszczone oczy i pragnąłem zawołać, że ją kocham, że ją proszę, że ją błagam, by moją żoną została, ale poczułem niejasno, że takie nagłe oświadczenie się w tej chwili byłoby aktem człowieka kochającego, wyłudzonym na człowieku krytykującym.

Doszedłszy do stanowczego momentu, zawahałem się. Nie chciałem jeszcze stawiać wszystkiego na kartę. Miałem przecie czas! Niech ja jej się lepiej przyjrzę, niech ją lepiej poznam, niech miłość nie chwyta mnie podstępem w chwili, kiedy rozsądek mój śpi pod wpływem tego wielkiego narkotyku, jakim jest zakochanie się. Wysiłkiem woli zatrzymałem wyznanie, cisnące mi się do ust i puściłem ręce Zosi.

Wszedł do pokoju kwadrat siatkowy, a za nim Amelka. Byłem im rad w tej chwili. Stawali oni po stronie człowieka niedowierzającego, a niedowierzanie, jak małe płomyczki rozniecającego się ognia, poczynało moją duszę na nowo obejmować. Odetchnąłem, jak gdybym był uniknął wielkiego niebezpieczeństwa.

W owych dniach, poprzedzających bal, Zosia stała mi się naraz jakąś smutną i zamyśloną. Nawet Bolek nie mógł jej rozbawić. Więc w duszy mówiłem do niej:

— Najdroższa, ukochana, czemu uśmiech znikł z twoich różanych ustek, czemu czarne oczy czarniejszemi się stają? Czemu ty, dziecino, przypuszczasz, że ja tobą pogardzam? Czy to, żem ciebie raz przycisnął do mojej piersi, obraziło cię tak bardzo? Czy cię dotyka ton ironiczny, w który się ubiera moja nieszczęśliwa, chora na krytykę miłość? Dziecino moja! Ja ci to wszystko odpłacę wielkiem przywiązaniem, wielkiem zaufaniem w przyszłości; ja cię obsypię wszystkiem, co dać może jedno serce drugiemu i co dać może bogaty miłością ubogiej dziewczynie! Poczekaj tylko chwilę jeszcze, aniele!

Tak mówiłem w duchu, a gdym się do niej zbliżał, stawałem się sztywny i drwiący przez samą obawę, by mi coś z moich myśli na usta nie wybiegło.

W wilię balu przyjechała jej matka i siostry. Podejrzliwość moja zwiększyła się jeszcze. Badałem ukradkiem spojrzenia pani Zbroińskiej, jej słowa i półsłówka, jej obejście się z córką, jej obejście się ze mną. Doszukiwałem się znaczenia najlżejszych odcieni. Byłem nieszczęśliwy, własne rany jątrzyłem, a przytem czułem, że kocham Zosieńkę coraz mocniej.

Raz jeszcze powtórzę pani, że tę nieszczęsną krytykę, będącą odwrotną stroną mojej miłości, mogę tylko porównać do zazdrości tego rodzaju, jak zazdrość nieszczęśliwego Otella. Zazdrość ta wzrasta wraz z potęgującą się miłością. Tak było i z moją podejrzliwością.

Nadszedł nareszcie dzień balu. Ciotka, po obiedzie, kładła co chwila palec na ustach, strzegąc, by nikt jej pannom snu nie przerywał. Miały się wyspać, żeby ładnie potem wyglądały. Poczciwa ciotka czuła się na prawdę matką w takich chwilach. O swojem zmęczeniu nie myślała wcale, byle Amelka i Zosia dobrze się wydały. Ja byłem bardzo rozdrażniony, bardzo wyczerpany, bardzo zdenerwowany. Ta chora, ta kaleka, miłość moja, odziana we włosiennicę własnej krytyki, z raniącemi kajdanami ciągłej podejrzliwości, to była silna tortura, która mię zupełnie złamała.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dał się zupełnie studyowaniu filozofii chrześcijańskiej, a nawet po dwuletniej pracy, napisał w tym duchu książkę p. t. „Filozofia XX-go wieku". Ukaże się ona zapewne już wkrótce z druku, a musi to być rzecz ciekawa, bo po jej przeczytaniu w rękopisie, Dumas pisał do autora: „Gratuluję panu! Ta rzecz wywoła niesłychane wrażenie." Co ważniejsza p. Valabregue pisał niedawno do Papieża, prosząc go o błogosławieństwo dla swej książki i dla siebie, gdyż właśnie przygotowuje się do przejścia na katolicyzm.

Ten sam nowy prąd spowodował powstanie najnowszej powieści Huysmans'a p. t. *En route* Huysmans znanym był dotychczas z głoszenia zasad o „rozkoszy krzewienia występku". Tym razem w *En route* („W drodze"), powieści uznanej przez fachową krytykę za najlepszy jego utwór, Huysmans przeniósł się na odmienne tory. Jest to skrajnie mistyczna historya nawrócenia zepsutej i wyrafinowanej damy i światowca naszych czasów.

Z innych nowości literackich żywe zainteresowanie wywołała powieść Jana Pommerola p. t. „*Le péché des autres*" (Grzech cudzy). Oto mniej więcej co o niej pisze jeden z krytyków tutejszych:

„Śliczną i do zapomnienia trudną postacią żeńską jest Charlotte, bohaterka tego nowego romansu. Roztacza ona wokoło siebie wdzięk czysty a niepokojący, surowy a rozkoszny zarazem, a tak życia pełny, że gdy się czyta owe karty pełne wzruszeń namiętnych lub tkliwych, wierzyć się w końcu poczyna, iż to wszystko nie fantazya artystyczna, ale prawda życiowa. I kto wie, czy tak istotnie nie jest. Zresztą i wszystkie inne postacie tej książki są ludźmi z krwi i ciała, nie z papieru: czują, i żyją nie poprzestając na gestykulowaniu i mówieniu. Nawet podrzędne sylwetki zdradzają tu prawdziwie artystyczną rękę; a takie one zabawne i dowcipne, tak odskakują od poważnego tła romansu. Można przewidywać, że „Grzech cudzy", o którym dużo już mówią, będzie miał powodzenie większe jeszcze, niż dawniejsze dzieła p. Pommerola. Prawda, że w książce tej nie brak rozdziałów o bardzo ryzykownej śmiałości, z powodu których książki tej panny czytać nie powinny. Ci wszelako, którzy z powodu pewnych drażliwych sytuacyj romansu oskarżać go będą o niemoralność, ci dadzą dowód, że nie pojęli ani ukrytej w książce nauki, ani jej istotnej wartości moralnej".

Tak pisze o tej książce Francuz. Co nam o niej powiedzieć wypadnie, zobaczymy, gdy ją przeczytamy.

Po za ścisłemi granicami beletrystyki na uwagę zasługuje artykuł w „Le Monde moderne", stanowiący ciekawy przyczynek do charakterystyki Paryża, a napisany przez L. Pauliana, głośnego autora dzieła *Paris qui mendie*, gruntownego znawcy paryskiego żebractwa i włóczęgostwa. W owym artykule pisze między innemi Paulian, że niemożliwem jest siedzieć przy kawie pod markizą rozpiętą przed bulwarową paryską kawiarnią, a to w skutek plagi, którą są rozmaitego rodzaju handlarze wędrowni, którzy narzucają się gościom w niemożliwy sposób. Zaledwoś bowiem zasiadł przed filiżanką kawy, zjawia się najpierw mężczyzna z pękiem książek obrazkowych, pociętych w pasy, zapomocą których można wywoływać niezliczone zestawienie głów, korpusów, nóg i rąk. Podsuwa on gościowi swój towar aż pod sam nos, krzyczy równocześnie w ucho „Proszę kupić, 150 transformacyi, znakomity podarek dla dzieci!" i tak się narzuca, że o mało stołu nie przewróci. Tuż za nim zjawia się roznosiciel gazet, który ofiaruje ci dziennik *Paris-Sport*, jak się wyraża Paulian, „w pełnym galopie." Raz jakiemuś roznosicielowi tego pisma przyszło na myśl w ten sposób zwrócić na siebie uwagę, a zaraz poczęli go naśladować inni jego koledzy, tak, jakby *Paris-Sport* na najdalszych krańcach Paryża był z gorączkową niecierpliwością wyczekiwany. Następny włóczęga czytelnikowi gazet w kawiarni podsuwa pod nos małego pieska, którego chce sprzedać. Według Pauliana, takie pieski są umyślnie w tym celu tresowane, aby uciekały od nowego właściciela i powracały do przekupnia, który je tak ciągle w kółko sprzedaje. Tuż zjawia się matka z trojgiem dzieci, sprzedająca ołówki.

Byłby to dodatni objaw samopomocy podupadłej rodziny, gdyby, — dzieci nie były wypożyczone z zakładu, gdzie się je umyślnie wycieńcza, aby litość budziły. Zaledwośmy się załatwili z tą refleksyą, aż tu koło nóg przesuwa się nam długi kij zakończony haczykiem. To zjawił się ze swoim instrumentem zbieracz niedopałków cygarowych, postać niemal sympatyczna w tej gromadzie. Nietylko bowiem oczyszcza on trotoary i werandy kawiarniane z niedopałków, ale poczciwie pracuje, wyrabiając z nich tabakę. Cóż, kiedy to dobre wrażenie psuje nam w tej chwili pojawiający się nowy handlarz książek obrazkowych, który woła: „Uniformy armii francuskiej! Sześćdziesiąt centimów zamiast dwóch franków!" Potem przychodzi jakaś ślepa dama, której „siostra" obnosi wachlarze, roznosiciele *Kokardy*, którejby nikt nie czytał, gdyby nie jej sprytni kamelociąci, potem zjawia się „zręczny artysta", co za franka w ciągu pięciu minut portretuje każdego. Nieprzerwanym szeregiem ciągną się następnie: handlarz, który za dwa sous ofiaruje broszurę p. t. „Dlaczego kobiety mają zawsze.. pewne czarne stworzonka", głuchoniemy, który ani słowa wprawdzie nie mówi, ale arogancko rzuca ci na stół egzemplarz alfabetu głuchoniemych, magik który za franka uczy sposobu znikania gałki chleba, handlarz ptaków i inni. Jednym z ciekawych okazów jest chłopak „Gaillepond", który za 50 centimów pozwala wypróbować swą znajomość historyi francuskiej. Policya go już kilkakrotnie aresztowała, ale zawsze puszczano go, bo się okazało, że jego biegłość historyczna nie jest humbugiem. Dalej przychodzi... ale już na nowy okaz z tej galeryi zmordowany gość nie czeka i przerażony ucieka, aby gdzieindziej wypić swobodnie filiżankę kawy i przeczytać dzienniki.

Rada miasta Lwowa.

Lwów 29 marca.

Na wczorajszem posiedzeniu Rada miejska na wniosek p. prezydenta Mochnackiego, przedstawiony przez dra Radziszewskiego, uchwaliła jednogłośnie przeznaczyć 1000 zł. na budowę gimnazyum polskiego w Cieszynie. Posagi z fundacyi miejskiej im. arcyksiężnej Gizeli po 150 zł. przez losowanie otrzymały: Stanisława Paulina Kisielewska, Maryanna Józefa Dąbrowska i Maryanna Elżbieta Tyczka. Taryfę opłat placowych dla dorożek ustanowiono na 9 zł. rocznie dla dorożek jednokonnych, a na 12 zł. dla dorożek dwukonnych. Stypendya z fundacyi i mienia Głowińskiego, przeznaczone dla synów mieszczan lwowskich, nadano o rocznych 210 zł. Emilianowi Maryanowi Krukowi, słuchaczowi praw, o rocznych 157 zł. 50 cnt. Zygmuntowi Danielskiemu, słuchaczowi medycyny. Subwencyi udzielono: Zarządowi Towarzystwa kolonii wakacyjnych dla dziewcząt 750 zł., Towarzystwu Polaków w Peszcie 160 zł., Tow. „Jad Charuzim" we Lwowie 100 zł.

Na rozszerzenie ulicy św. Zofii i na drogę do placu wystawy uchwalono zakupić za 1569 zł. pasmo gruntów. Dla gr. katol. katechety w szkole wydziałowej PP. Benedyktynek ormiańskich uchwalono podnieść wynagrodzenie roczne za udzielanie nauki religii do 120 zł. Na budowę kościółka w Hołoskowie, w miejscu rodzinnem poety Karpińskiego, uchwalono udzielić subwencyi w kwocie 100 zł.

R. p. Rawski przedstawił wnioski w sprawie budowy pomnika Aleksandra hr. Fredry. Komisya, zajmująca się sprawą wyboru miejsca pod pomnik, uchwaliła wznieść go na placu Akademickim, w miejscu, gdzie się dziś znajduje studnia. Ks. infułat Mazurak proponował, aby pomnik ten postawiono na końcu wałów na ul. Akademickiej. Wniosek ten poparł dr. Małecki. Sprzeciwili się zaś mu pp. rr. Zacharyewicz i Michalski, poczem Rada uchwaliła pod pomnik ten przeznaczyć plac Akademicki. Budową pomnika zajmuje się lwowskie Koło literackie, a koszta jego pokryły publiczne składki i subwencya Rady miejskiej. W dalszym ciągu uchwalono w miejskiem muzeum przemysłowem utworzyć drugą posadę urzędnika etatowego z roczną płacą 600 zł. i 180 zł. dodatku na mieszkanie. Sprawa pomnożenia aptek we Lwowie spadła z porządku dziennego z powodu nieobecności referenta dr. Gostyńskiego.

Na posiedzeniu tajnem r. dr. Małachowski referował sprawę obsadzenia posady syndyka miejskiego. O tę posadę kompetowało 21 kandydatów, a między tymi byli adwokaci lwowscy, z prowincyi, oraz kilku urzędników z prokuratoryi skarbu.

Wniosek p. r. Michalskiego, aby tę sprawę, jako bardzo ważną, z powodu spóźnionej pory, odroczyć do następnego tygodnia — upadł.

W pierwszem głosowaniu otrzymali: dr. Aleks. Lisiewicz 24 głosów, dr. Srokowski 6, dr. Balko 2, dr. Pomianowski 16, dr. Łuczkiewicz 10, dr. Krygowski 11, dr. Szweizer 1, dr. Soroń 1, dr. Kuczkiewicz 2.

Ogółem głosowało 73, absolutna większość 37. Gdy nikt nie otrzymał absolutnej większości, przystąpiono do powtórnego głosowania. Tym razem głosowało 69 radnych. Dr. Lisiewicz otrzymał 24, dr. Pomianowski 18, dr. Łuczkiewicz 9, dr. Krygowski 11; dr. Srokowski 5, dr. Kuczkiewicz 1.

Gdy i tym razem nikt nie otrzymał absolutnej większości, p. prezydent zarządził głosowanie ściślejsze między drem Lisiewiczem i drem Pomianowskim.

Na 69 głosujących otrzymał dr. Pomianowski Aleksander 36 głosów, zaś dr. Al. Lisiewicz 32 gł., 1 kartka próżna. Syndykiem więc wybrany został adwokat lwowski dr. Pomianowski.

ODEZWA.

Po dziesięciu latach pracy żmudnej uchwalił Zarząd „Macierzy szkolnej" d. 9 marca 1895 przystąpić do dzieła i założyć z przyszłym rokiem szkolnym długo oczekiwane gimnazyum polskie w Cieszynie. Następstwem tej uchwały było wynajęcie dwupiętrowego domu za czynsz roczny 2500 zł. i wniesienie prośby do ministerstwa wyznań i oświaty o pozwolenie na otwarcie gimnazyum. Nie wątpimy, że będzie trzeba jeszcze nie jedną trudność przed otwarciem przełamać, ale mamy niezachwianą ufność, że je szczęśliwie przezwyciężymy.

Chociaż więc na razie powstanie gimnazyum polskiego w Cieszynie zdaje się być zapewnione, to jednak patrząc w najbliższą przyszłość widzimy przed sobą olbrzymie zadanie, olbrzymie ze względu na nasze słabe siły. Dom wynajęty jako mieszkalny jest wprawdzie odpowiedni na pomieszczenie kilku klas, ale nie całego gimnazyum, za trzy lub cztery lata będzie więc trzeba koniecznie wznieść nowy budynek odpowiadający we wszystkiem wymaganiom hygieny i ustawom szkolnym, a taki budynek kosztować będzie przeszło 100.000 zł. W najbliższym czasie należałoby już zakupić plac pod budowę, aby można wcześnie poczynić przygotowania do budowy. Niestety środki nasze za małe, bo choć posiadamy przeszło 80.000 zł. to jest to za mały fundusz, aby gimnazyum wybudować; a cóż nam pozostanie na utrzymanie gimnazyum, które doszedłszy do ósmej klasy może rocznie kosztować około 30.000 zł.?

Nic dziwnego więc, że wobec piętrzących się trudności oczy nasze zwracają się znowu w tę stronę, skąd nam dotąd hojna pomoc niejednokrotnie udzieloną została. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebujemy najrychlejszej i usilnej Waszej pomocy, kochani Rodacy!

W tym przeto celu zwracamy się z uprzejmą prośbą do naszych narodowych towarzystw, do gminnych i miejskich reprezentacyj, do redakcyj czasopism, do instytucyj finansowych i ekonomicznych, do obywateli i stanów o jaknajrychlejsze materyalne poparcie naszych usiłowań, abyśmy wspólnemi siłami dokonali wiekopomnego dzieła.

Datki prosimy nadsyłać pod adresem: ks. Józef Londzin w Cieszynie.

W Cieszynie d. 25 marca 1895.

Ks. Józef Londzin, sekretarz. *Ks. Monsignore Świeży*, prezes.

KRONIKA.

Lwów 29 marca.

Ks. Metropolita Sembratowicz wyjechał do Przemyśla na pogrzeb ks. kanonika Lityńskiego.

Mianowania. Wydział krajowy zamianował oficyała rachunkowego Edmunda Kopaczyńskiego adjunktem rachunkowym, asystentów rachunkowych: Adama Mamczyskiego i br. Aleksandra Lewartowskiego, oficyałami rachunkowymi; aplikantów rachunkowych: Stefana Kulczyckiego i Mikołaja Hrodyskiego praktykantami rachunkowymi; aplikanta II klasy Franciszka Domiszewskiego, aplikantem I klasy, w końcu dyetaryuszy rachunkowych: Wincentego Misińskiego i Antoniego Borkoscha aplikantami I klasy.

Minister oświaty zamianował Julię Stahlbergerównę nauczycielką szkoły ćwiczeń w seminaryum nauczycielskiem żeńskiem w Krakowie.

Wiadomości dyecezyalne. Archidyecezya lwowska obrz. łac.: Kanclerzem Konsystorza Metrop. zamianowany został ks. dr. Bolesław Twardowski. Prefektem seminaryum ustanowiony ks. Adam książę Sapieha. Kooperatorem ustanowiony w Podkamieniu koło Brodów O. Marcin Rymarczyk z Zakonu kaznodziejskiego, przeniesiony z Konwentu krakowskiego.

Dyecezya tarnowska. Odznaczeni *expositorio canonicali*: ks. Wawrzyniec Bednarz, proboszcz w Porębie-radlnej, ksiądz Ignacy Ziołowski, proboszcz w Złotej. Przeniesieni: ks. Michał Januś z Lipnicy-murowanej do Chomranic, ks. Franciszek Łukasiński z Ujanowic do Lipnicy-murowanej, ks. Ludwik Czapieński z Chomranic do Ujanowic, ks. Józef Sikora z Przyszowej do Zaborowia, ks. Stanisław Kubas z Wietrzychowiec do Łącka, ks. Kazimierz Salewski z Łącka do Przyszowej jako administrator *in spiritualibus*, ks. Marceli Piotrowski z Zaborowia do Wietrzychowiec. Zamianowany dziekanem limanowskim ks. Ernest Christ, proboszcz w Ujanowicach. Konkurs na probostwo w Tuchowie, w skutek rezygnacyi Najprzewiel. ks. Arcybiskupa Hryniewickiego, rozpisany do 5-go maja.

Księstwo Marszałkowstwo Sanguszkowie przybyli wczoraj do Lwowa.

Podwyższenie taryf osobowych na kolejach państwowych ma wejść w życie 1 lipca b. r. Wkrótce rząd wniesie do Rady państwa odpowiednie przedłożenie.

Odznaczenia. Burmistrz m. Tarnowa, p. Witold Rogoyski otrzymał krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa. — Budowniczy Feliks Zaremba otrzymał złoty krzyż zasługi z koroną.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe: w Jaworowie z terminem do 10 kwietnia, w Starem mieście z terminem do 16 kwietnia b. r. rozpisały konkurs na kilkadziesiąt posad nauczycielskich. — Wydział powiatowy w Krakowie ogłasza konkurs na posadę konduktora dróg z roczną płacą 800 złr. i dodatkiem na objazdy w kwocie 200 złr.

Ajent policyjny szpiegiem. W Majdanie sieniawskim na granicy rosyjskiej znajduje się ekspozytura policyi, której kierownictwo poruczono ajentowi policyjnemu, Adolfowi Bodekowi, byłemu właścicielowi antykwarni we Lwowie. W tych dniach uwięziono Bodeka pod zarzutem szpiegostwa na korzyść Rosyi. Śledztwo w tej sprawie prowadzi sąd przemyski; przeprowadzona w domu Bodeka rewizya miała dostarczyć sądowi licznych korespondencyi i innych dowodów winy.

W Konstantynopolu zmarł dnia 14 bm. stryj prezydenta kolei państwowych, dra Leona Bilińskiego, Seweryn Biliński, znany pod nazwiskiem Mihada baszy. Zmarły przeżył 80 lat. W r. 1848 był posłem do parlamentu wiedeńskiego, a później w Kromieryżu, poczem wstąpił do wojska tureckiego, gdzie uzyskał stopień jenerała. Podczas wojny turecko-rosyjskiej w roku 1878 był szefem sztabu jeneralnego armii Abdul Kerima. Po wojnie został mianowany komisarzem tureckim w Sofii i na tem stanowisku pozyskał przyjaźń Bułgarów i ks. Battenberga. Opuściwszy tę posadę osiadł w Konstantynopolu i tam zakończył życie. Najstarszy syn zmarłego, wychowany po polsku, jest radzcą legacyjnym ambasady tureckiej.

Księżna Wilhelmina Montleart, o której śmierci doniósł nam onegdaj telegram, była wdową po księciu Maurycym Montléart, synie ks. Juliusza i księżnej Maryi Krystyny Sabaudzkiej de Carignan, która była też matką króla Sardynii Karola Alberta, gdyż poślubiła ks. Juliusza Montléart, będąc już wdową. Księżna Wilhelmina pochodziła z irlandzkiej rodziny Fitzgeraldów. Ojciec jej opuścił Irlandyę, zmuszony do tego wypadkami politycznymi; za nim pospieszyła też i żona jego, udając się z dwojgiem małoletnich dzieci do Wiednia, gdzie spodziewała się zastać męża. Wkrótce po przybyciu do stolicy Austryi straciła pani Fitzgerald 6letniego synka, a niedługo potem, nie odnalazłszy męża, zmarła sama, osierocając 10-letnią córeczkę Wilhelminę. Sierotą zaopiekowała się naprzód ciotka baronowej Effinger-Wildegg, a następnie wzięła ją do siebie sama baronowa.

W domu baronowej poznał właśnie 17letnią Wilhelminę Maurycy ks. Montléart i zaręczył się z nią w roku 1850, ślub jednak odbył się dopiero w pięć lat później. Przez męża była księżna Montléart spokrewnioną z włoską rodziną królewską, a także i z odnogą cesarskiej rodziny austryackiej, mianowicie z arcyksięciem Rainerem, który jest jej jeneralnym spadkobiercą. Zmarła była bratową zamordowanej w roku 1885 księżnej Montléart. Księżna miała lat 67, prowadziła życie nadzwyczaj ciche i skromne, oddaną była wyłącznie sprawom miłosierdzia, o którem świadczą ofiarowane przez nią za życia sumy na budowę różnych instytucyi dobroczynnych. Ofiarowała ona 150.000 zł. na budowę szpitala gminie Ottakring, gminie Hernals na taki sam cel wypłaciła 100.000 zł., a prócz tego na urządzenie domów przytułku dała gminom Ottakring, Hernals, Neulerchenfeld i Dornbach po 10.000 zł.

Dowodem wielkiej bezinteresowności zmarłej był i ten fakt, iż zrzekła się na korzyść arcyksięcia Rainera rozległych dóbr w Galicyi, które na zasadzie brzmienia testamentu matki swego męża, po śmierci jego w r. 1887, mogła była sobie dożywotnie zatrzymać. Księżna nietylko oddała dobra ziemskie arcyksięciu Rainerowi, lecz prócz tego darowała arcyksięciu Henrykowi znaczną sumę w papierach wartościowych, oraz fabrykę nici w Liesing, zakupioną w roku 1850 przez nieboszczyka jej męża. Książę Maurycy Montléart pochowany został w parku zamkowym w Wilhelminenberg pod Wiedniem. We wspaniałem mauzoleum, wzniesionem dla niego, zostawiła też księżna miejsce i dla siebie, prawdopodobnie więc zwłoki jej spoczną obok zwłok męża.

Samobójstwo. Wczoraj w południe rzuciła się z okna trzeciego piętra domu przy ulicy Jagiellońskiej l. 17 na chodnik Rozalia Taubelesówna, 33 lat licząca, nauczycielka prywatna i zabiła się na miejscu. Samobójczyni mieszkała od tygodnia u swej siostry. Wczoraj przed południem w domu nie było ani siostry, ani szwagra, oboje są bowiem nauczycielami szkół publicznych. Taubelesówna siedziała przy otwartem oknie z gazetą w ręku i wypytywała służącą w jaki sposób wyleciała przed kilku miesiącami podczas czyszczenia okien służąca z okna przeciwległej kamienicy. W kilka chwil później wysłała służącą do pierwszego pokoju, by jej podała chleb z masłem na śniadanie, a gdy służąca wyszła, Taubelesówna wyskoczyła z okna 3-go piętra na ulicę, zkąd więcej nie powstała. Co rychlej sprowadzona ze szkoły siostra zastała już w bramie zwłoki samobójczyni. Przyczyna rozpaczliwego kroku jest nieznaną. Samobójczyni w domu nie pozostawiła listu do nikogo.

Sprawa o morderstwo. W Siedlcach w Królestwie Polskiem toczyła się w tych dniach rozprawa przeciw Antoniemu Sowińskiemu, współwłaścicielowi dóbr Olszyca, oskarżonemu o zamordowanie niejakiego Goska. O fakcie tym donosił już w swoim czasie nasz korespondent warszawski, a wedle aktu oskarżenia rzecz się tak przeestawia:

W niedzielę dnia 8 października r. z. Tomasz Gosek i Sowiński przyjechali z Olszyca do Siedlec, gdzie zabawiwszy do dziewiątej wieczorem, wyruszyli z powrotem do domu. W odległości 12 wiorst od Siedlec podróżni stanęli pod karczmą w Skurcu, aby dać wytchnąć koniowi. Na popasie Gosek, nie przewidując co go wkrótce czeka, był w wesołem usposobieniu; Sowiński był zamyślony i pochmurny. Zabawiwszy około godziny w karczmie, wyruszyli obaj w dalszą drogę do Olszyca. Od tej chwili nikt już nie ujrzał Goska żywego, a Sowiński dopiero nad wieczorem we wtorek powrócił do domu. Trup Goska, napół schowany do worka, z przestrzeloną głową i kilkoma ranami, zadanemi w głowę twardem narzędziem, bez butów i czapki a także bez pieniędzy, znaleziono niebawem w pobliżu wsi Sięciażki, przykryty gałęziami i błotem. W pewnej odległości od miejsca, gdzie znaleziono trupa, była kałuża krwi i leżało trochę skrwawionej i napół z koniczyną zmięszanej słomy, pod którą znaleziono sznurek św. Franciszka, którym podpasywał się zwykle Gosek, i pochwę od rewolweru; takie same garści skrwawionej słomy zauważono i w pobliżu Olszyca.

Podejrzenie o zabójstwo padło na Sowińskiego; powinien był bowiem wrócić do domu razem z Goskiem, który mieszkał w domu Sowińskiego. Wreszcie ślady krwi, zauważone na rękawach od koszuli i odzieży, dwie skrwawione chustki w kieszeniach paltota i wiązka okrwawionej, z koniczyną zmięszanej słomy, znaleziona w oborze Sowińskiego, świadczyły, iż tylko on winnym być może. Oskarżony, niegdyś właściciel 11 włókowej (330 morgów) fortuny szlacheckiej, czas jakiś wójt gminy, wreszcie posiadacz półczwartej włóki na Olszycu, od pewnego czasu podupadł majątkowo i zagrożony był subhastacyą. Przed dwoma mniej więcej laty wszedł on w bliższe stosunki ze znanym sobie dawniej stolarzem z Warszawy (nieco garbatym, wątłego zdrowia) Tomaszem Goskiem, który przesiedlił się do Olszyca i zamieszkał u Sowińskiego. Gosek, mając około 3.000 rs. kapitału, wprowadził do majątku Sowińskiego kilka sztuk inwentarza, zapłacił za niego kilka rat Towarzystwa, i chroniąc oskarżonego od natręctwa wierzycieli, wziął część jego w fikcyjną dzierżawę. Wreszcie nabył 1.000 rs., ciążące na hypotece Sowińskiego, a oprócz tego spłacił 500 rs. innemu niższemu wierzycielowi, pod firmą którego część Sowińskiego poszła na subhastacyę; koszta jej ponosił Gosek.

Z jakich ten ostatni działał pobudek, to jest czy zmierzał do tego, aby tylko na swoje imię nabyć majątek, nie usuwając z niego dłużnika i w ten sposób od ruiny go ocalić, czy też rzeczywiście chciał go wywłaszczyć, nie wiadomo. Przypuszczać można i jedno i drugie, chociaż bowiem stosunki łączące Sowińskiego i Goska wydawały się bardzo dobre, a nawet familiarne (Gosek nazywał Sowińskiego: pater, a dzieci Sowińskiego, Goska, dziadzią), ludzie jednak przebąkiwali, że z Sowińskim źle będzie, jeżeli Gosek jego majątek z licytacyi kupi. Opinię ogółu musiał podzielać i Sowiński, który, zabijając Goska, pozbywał się, przynajmniej na jakiś czas, człowieka, czyhającego może na jego dobro. Taką zdaje się być pobudka przestępstwa aczkolwiek zabójstwo mogło być spełnione i w celu rabunku, bo, jak zeznali niektórzy świadkowie, Gosek zawsze prawie musiał mieć przy sobie około rs. 800, tymczasem trupa jego znaleziono bez pugilaresu nawet; w ubraniu zabitego oprócz likwidacyi kosztów, podanych przez komornika za subhastacyę części Olszyca, nic więcej nie znaleziono; u Sowińskiego zaś przy rewizyi znalazły się kwity wierzyciela, który część swej sumy odstąpił Goskowi, rachunek z opłaconych za Sowińskiego rat towarzystwa i inne notatki.

Sowiński nie przyznał się do winy przed sądem, twierdził tylko, że ze Skurca wyjechał z Goskiem nie do Olszyca, ale do Siedlec, dokąd zwrócił konia, ulegając Goskowi, który powziął nagły zamiar jechania do Warszawy nocnym pociągiem; otóż przybywszy ze Skurca do Siedlec, wysadzić miał Goska przed cerkwią, a sam udał się szosą do Łukowa po paszport. Nic nie przemawiało za prawdopodobieństwem takiego tłómaczenia, to też sąd, uznając winę Sowińskiego, skazał go na pozbawienie praw stanu i 12 lat ciężkich robót.

Zwinięcie seminaryum nauczycielskiego w Tarnopolu. Rada szkolna krajowa na posiedzeniu z dnia 24 bm. uchwaliła zwinąć seminaryum nauczycielskie w Tarnopolu, a przenieść je do Czortkowa.

Zawodowy samobójca. Różne bywają specyalności! W Berlinie policya aresztowała przed kilku miesiącami niejakiego „hrabiego" Ławczyńskiego, rodem z Warszawy, oskarżonego o oszustwo. W pogoni za chlebem i to chlebem „łatwym", wpadł on na pomysł rzekomego trucia się. Często więc na ulicy, gdzie więcej było osób, wyciągał nagle z kieszeni małą flaszeczkę, wypijał zawarty w niej płyn i z okrzykiem „Otrułem się!" padał na ziemię. Naturalnie spieszono mu natychmiast z pomocą, lekarze antidotami ratowali go od otrucia. Gdy następnie pana „hrabiego" pytano o przyczynę samobójstwa, odpowiadał, że go do tego skłoniła nędza, a umiał o swych dawnych bogactwach i teraźniejszej nędzy tak pięknie opowiadać, że poruszał serca ludzi litościwych i łatwowiernych, którzy sypali mu obfite zapomogi, tak iż pan „hrabia" mógł przez pewien czas bez pracy żyć wygodnie z otrzymanej jałmużny. Gdy pieniądze się wyczerpały, następowała nowa scena otrucia.

W ten sposób Ławczyński truł się w Bonn, Lipsku, Monachium, Dreznie i Berlinie, gdzie ostatecznie zwrócił na siebie uwagę policyi i kilka miesięcy przesiedział w więzieniu śledczem.

Wypuszczony na wolność w początkach zeszłego miesiąca, odegrał w Genewie przed kilku dniami znów komedyę z trucizną. Wychodząc z jednej kawiarni przy Grand-Quai, gdzie do godziny 11-tej wieczorem raczył się koniakiem w gronie kilku osób świeżo poznanych, wyjął z kieszeni drobną flaszeczkę, białym jakimś napełnioną płynem, szybkim ruchem poniósł ją do ust i wypróżnił. „Otrułem się"—rzekł do wychodzących razem z nim osób i z pospiechem oddawszy im flaszeczkę, list jakiś i bilet wizytowy, padł, niby piorunem rażony. Przeniesiono go do najbliższej apteki, której właściciel, przy pomocy wezwanego lekarza, daremnie usiłował przynieść ulgę otrutemu, ustawicznie wstrząsanemu konwulsyjnemi spazmami, którego puls bił wszakże najspokojniej.

Odwieziono go wreszcie o godzinie 2 w nocy do szpitala kantonalnego, gdzie mu się lepiej zrobiło, i gdzie do dnia następnego, na żadne nie odpowiadając pytania, dotyczące pobudek samobójstwa i rodzaju trucizny, w kłopot wprawiał lekarzy, nie mogących jej odgadnąć. Nareszcie domyślono się prawdy i „hrabia" przy pomocy datku „na drogę", ofiarowanego mu przez jednego z zamożnych członków kolonii polskiej w Genewie wyjechał, do Lugdunu, gdzie prawdopodobnie otruje się znowu. Używa podobno w tym celu lekkich dawek morfiny, które żadną miarą na prawdę zaszkodzić mu nie mogą.

Na koncercie orkiestry 30 pułku, który się odbędzie pojutrze w „Sokole" pod batutą sympatycznego kapelmistrza p. Rolla, wykonaną zostanie ponownie na ogólne żądanie prześliczna suita „Peer Gynt" Griega. Z doborowego programu notujemy nadto nieznaną u nas uwerturę Webera z op. „Piotr Schmoll i jego sąsiedzi", Mascagniego fantazye z „Cavallerii" i Rolla polkę „Elektrisch".

Z Podhajczyk pewien obywatel tego miasteczka donosi: „Onegdaj pewna kobieta zostawiła w pokoju dzieci z małemi świniami, które objadły dzieciom nogi, ręce, nos, uszy i wargi", i dodaje: „Szczęście, że świnie nie były stare, bo byłyby zjadły dzieci zupełnie."

Z Rzymu donoszą, iż Ojciec św. postanowił utworzyć tam osobne *Collegium Rutenum*, mogące pomieścić 40 wychowanków obrządku gr. kat. i że na ten cel przeznaczył 300.000 franków. Kolegium to będzie umieszczone w klasztorze OO. Bazylianów.

Upadek moralności. *Conservative Correspondenz* donosi o dwóch wypadkach, świadczących o wielkim upadku moralności wśród społeczeństwa wiedeńskiego. W szpitalu wiedeńskim 11-letnie dziewczę powiło syna, w sądzie zaś w Leopoldstacie syn oskarża rodzoną matkę o kradzież i sprzeniewierzenie. Matka jest właścicielką warsztatu ślusarskiego, syn był jego kierownikiem. Warsztat nie szedł świetnie i aby wydobyć się z długów, matka musiała żyć nędznie i każdy grosz zaoszczędzać, syn zaś trzymał dla siebie wierzchowca. Gdy syn przed kilku tygodniami powołany został na ćwiczenia wojskowe, dał matce do przechowania swoje pierścionki i zegarek, które matka zniewolona potrzebą zastawiła. Syn wróciwszy z wojska i dowiedziawszy się o tem, wniósł przeciw matce skargę do sądu.

Czy to postęp? W *Gazecie Kościelnej* czytamy: W myśl rozporządzenia Namiestnictwa we Lwowie z dnia 2 lutego 1895 roku l. 9547 ma się odbywać tegoroczny pobór do wojska w Krakowie (a może też i gdzie indziej) we wielkim tygodniu i to także we Wielki Czwartek i we Wielki Piątek b. r. Chociaż te dwa ostatnie dni nie należą do świąt uroczystych, to jednak są to dni pamiątkowe największych zdarzeń naszej wiary katolickiej i są, a przynajmniej powinny być, dniami największej ciszy i skupienia ducha. Wiadomo zaś powszechnie, że poborom do wojska towarzyszą uliczne zbiegowiska, hałasy i pijatyki, co nawet przewiduje samo rozporządzenie dotyczące poborów, grożąc karami porządkowemi tym, coby się stawili w nietrzeźwym stanie. Wobec tego musi się wydać dziwnem, że Namiestnictwo, mając do dyspozycyi setki dni w roku, wyznaczyło taki właśnie termin na pobór do wojska. Osłabianie uczuć religijnych ludności nie leży przecież ani w programie ani w interesie Rządu!

Nowe odkrycie w Dahchour. Niedawno donosiliśmy o odkryciach, dokonanych przez p. Morgana w Dahchour, świeżo zaś otrzymało wiadomość o znalezieniu dwóch nowych grobów, które otworzono w obecności ambasadora francuskiego i p. Baubiron'a, sekretarza ambasady. Grobowce te, jak i poprzednie, pochodzą z czasów dwunastej dynastyi i położone są w pobliżu „białej piramidy", około której dokonano ostatnich od ryć. Podobnie jak i odnalezione w ostatnich czasach, budowane są z płyt kamienia tauroh u wejścia i korytarz do nich zamykają wielkie odłamy tegoż kamienia. Widocznie architekci starożytni postępowali tu w myśl życzeń osób, którym chodziło o zabezpieczenie nietykalności ostatniego schronienia zmarłych. Przeszkody jednak, wystarczające do odstraszenia łupieżców starożytnych, nie mogły oprzeć się systematycznym robotom dyrektora kierującego poszukiwaniami archeologicznemi. Pierwszy sarkofag, do którego p. Morgan zrobił sobie dostęp, zawierał w trumnie mumię księżniczki Ita-Ourt; nazwisko zmarłej odnaleziono pomiędzy licznymi napisami żałobnymi. Na śmiertelnych szczątkach księżniczki trzymała się jeszcze kolia z pereł i paciorków ze złota, szmaragdów egipskich i lapis lasuli i z mnóstwa ozdób złożonych z tych kamieni i złotych perełek. Piękne materye, niezwykłej cienkości, niektóre z nich purpurowe, okrywały mumię, a obok niej leżało wybornie zachowane berło i laska. Sąsiadujący z sarkofagiem *serdab* zawierał mnóstwo ciekawych przedmiotów, kadzielnice, wory napełnione kosmetykami i t. p. W drugim grobowcu mieścił się sarkofag granitowy. Z napisów okrywających wnętrze trumny dowiedziano się, iż spoczywają w niej zwłoki księcia Sit-Hat, ozdobione koliami i bransoletami złotemi ze szmaragdów i lapis lasuli. *Serdab* znajdujący się obok zawierał rozmaite przedmioty żałobne, a między nimi wiele znalezionych po raz pierwszy, np. łabędzia rzeźbionego w drzewie, który szczęśliwie uniknął niszczącego wpływu czasu. Wszystkie te okazy będą wkrótce wystawione za witrynami w muzeum w Gizeh, gdzie uzupełnią zbiór, pochodzący z odkryć, dokonanych 15 i 16 lutego i dadzą o nich dokładne pojęcie. Będziemy więc mogli studyować we wszystkich szczegółach historyę sztuki egipskiej za dwunastej dynastyi.

Zmarli. Aleksander Sowiński, pułkownik wojsk pruskich, synowiec bohatera z pod Woli, umarł w Dreźnie. — Aniela z Cassinów Lachecka, żona radzcy sądu krajowego, umarła w Krakowie. — Ludwik Barański, emer. urzędnik miejski, oficer Krakusów z r. 1831, umarł w Krakowie. — Ks. Benedykt Lityński, prałat papieski, archidyakon gr. kat. kapituły przemyskiej, umarł w Przemyślu w 71 roku życia. — Ks. August Nowicki, kanonik i proboszcz w Szczucinie, umarł w 74 roku życia. — Teofila z Luxów Solska, wdowa po inspektorze podatkowym, umarła w Wadowicach. — Marya z Prendowskich Żuk Skarszewska, właścicielka dóbr umarła w Tęgoborzy pod Sączem w 83 r. życia. — Olga z Zalutyńskich Darowska, właścicielka dóbr z Ukrainy, umarła w Krakowie w 80 roku życia. Kazimierz Skibiński, oficyał magistratu, umarł we Lwowie w 62 roku życia.

Stan powietrza. T. o 8 rano $+6^0$ R. w poł. $+10$ R. Bar. 752. Spada. Prześliczna pogoda.

Myśli.

Najczęściej ludzie, skarżący się na zdenerwowanie, żądają tylko od otoczenia przywileju na obchodzenie się z tem otoczeniem brutalnie i arogancko.

Teatr. Dziś w piątek „Towarzysz pancerny", komedya w 3 aktach M. Wołowskiego, uwieńczona pierwszą nagrodą na konkursie Wydziału krajowego. W sobotę „Manon Lescaut", opera w 4 aktach Puccini'ego.

Rozmaitości.

— **Polowanie na trufle.** Polowanie na trufle jest rozrywką najprzyjemniejszą... dla wegetaryanina. Ten rodzaj sportu dostarcza bowiem tyleż wzruszeń, ile pogoń za zwierzyną, a nie kosztuje ani kropli krwi. Najzagorzalsi apostołowie braterstwa wszystkich istot, żyjących na ziemi, mogą całkowicie oddawać się tej przyjemności, bez obawy, iż staną w sprzeczności ze swemi zasadami, i wracać do domu z obfitemi łupami, nie zatrutemi wyrzutem sumienia, zjawiającym się po zamordowaniu bezbronnej kuropatwy lub płochliwego zająca.

Na nieszczęście medal ten ma i odwrotną swoją stronę. Polowanie na trufle, według metody klasycznej, przyjętej na południu Francyi, wymaga niezbyt powabnego pomocnika. Najwięksi przyjaciele zwierząt nie decydują się uciekać bez uczucia wstrętu do usług towarzysza, którego ryj, kierowany nieomylnem powonieniem, wydziera ziemi najdroższe jej skarby.

Anglicy, mający wysoko rozwinięty zmysł czystości, nigdy nie chcieli korzystać z talentów niechlujnego współpracownika i po długich staraniach udało się im wytworzyć rasę psów, które przychodzą na świat ze wszystkiemi zdolnościami, potrzebnemi do służenia sztuce odkrywania trufli.

Wzmianka o truflach angielskich wygląda na paradoks gastronomiczny. A jednak istnieją one

zbamtej strony kanału La Manche i, jak głoszą Anglicy, posiadają smak wyborny.

Miejscowość Waltshire gra w Wielkiej Brytanii rolę francuskiego Perigord. Wyrażenie to należy brać w znaczeniu dosłownem, gdyż trufle angielskie sprzedają na targach londyńskich pod imieniem perygordskich. Cienka warstwa oleju z orzecha wystarcza do tej zmiany narodowości. Dzięki tej manipulacyi, trufle z Waltshire tracą swój charakterystyczny odcień zielonkawy i nabierają barwy ciemnej, właściwej najlepszym gatunkom trufli francuskich.

Artyści malarze, poświęcający swe talenta temu zajęciu, osiągają spore zyski. Kupują towar po cztery franki za kilo i, nadawszy mu kolor, przylepiają fałszywą etykietę i sprzedają cztery razy drożej.

Trufle są perłami państwa roślinnego i stanowią jeden z tych przedziwnych kaprysów natury, których tajemnicy nie zbadała dotąd nauka. Zdają się nie podlegać żadnym stałym prawidłom, a jednak w Anglii prawie zawsze znajdują je u stóp buków. Trafiają się także pod cedrami i lipami, a nigdy nie ma ich pod orzechami. Według zdania, rozpowszechnionego w Anglii, korzenie wymienionych drzew nadają truflom smak delikatny. Anderson Graham ogłosił niedawno w piśmie Longma's Magazine" interesującą monografię trufli angielskich. Pisarz ten poucza nas, iż przez dziwną igraszkę natury ten przypadkowy produkt ziemi, zagłębiony w niej dość znacznie, potrzebuje do swego rozwoju słońca. Z tego powodu poszukiwania trufli pod drzewami, których korony rzucają gęsty cień, są zawsze bezskuteczne do chwili, w której jesień nie ogołoci gałęzi z liści i nie ułatwi dostępu promieniom słonecznym.

Anglicy posiadają specyalny talent do hodowli psów, przeznaczonych do najrozmaitszych użytków. W tej nawskroś narodowej sztuce celują zarówno bogaci jak i ubodzy. Dzięki umiejętnemu krzyżowaniu kundlów z jamnikami, wieśniacy w Waltshire otrzymali wyborną rasę psów truflarzy.

W czasie, gdy polowania na trufle nie ma, psy truflarze są trzymane w ostrym rygorze. Z chwilą, gdy im dają więcej wolności, krew jamnika bierze w nich górę i puszczają się co sił za szczurem, który nieostrożnie włóczy się w pobliżu. Pies truflarz, który zaczyna polować na szczury, przestaje być użytecznym swemu panu, bo traci węch i chęć do wyszukiwania produktu najcenniejszego w państwie roślinnem. Chcąc tych niepoprawnych szczurołapów uchronić od wszelkich pokus, wieśniacy z Waltshire trzymają je na uwięzi w budach przez większą część roku.

Kształcenie psa truflarza przypomina metodę, używaną w cyrkach przy tresowaniu pudlów. Pierwszym warunkiem powodzenia jest łagodność ze strony pana. Rzuca on z początku trufle, które pies powinien przynieść w zębach, następnie chowa trufle w trawę i uczy psa wyszukiwać je i w formie nagrody daje mu kawałek cukru lub inny przysmak.

Dobry przykład, dawany przez drugiego psa, już wytresowanego, ułatwia postępy w nauce kandydatowi na truflarza. Młody pies towarzyszy swemu panu na polowanie, lecz trzyma się w przyzwoitej odległości, gdy stary weteran polowania poczuł trufle i zaczyna grzebać w ziemi. Uczeń nie może się zbliżać zbyt blisko, ponieważ pies doświadczony posiada miłość własną artysty i nie życzy sobie, by przypuszczano, że potrzebuje pomocy. Ale młody pies ma krew kundlów wiejskich w żyłach i co za tem idzie, bardzo rozwinięty zmysł obserwacyjny. Żaden więc szczegół nie uchodzi jego uwagi. Widzi też, iż gdy ukażą się w ziemi pierwsze trufle, stary pies odwraca się do swego pana, szczeka i niezwłocznie otrzymuje przysmaki.

Ta lekcya poglądowa sprawia duże wrażenie na młodym i inteligentnym kandydacie na truflarza, który zaczyna rozumieć, iż gonitwa za szczurami jest bezpożyteczną rozrywką, natomiast polowanie na trufle profesyą, uczciwie nagradzaną.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 27 marca.

(Z.) Banki znów zaczynają przymykać swe kasy i skąpią gotówki. Zazwyczaj pierwszorzędne firmy z największą łatwością eskontują swe weksle poniżej urzędowej stopy banku austro-węgierskiego w innych wielkich bankach, których ajenci chętnie skupują takie weksle, dziś jednak nie było ich wcale na giełdzie, a jedynem źródłem taniej stosunkowo gotówki był bank austro-węgierski, który wszelako także niechętnie jej udziela, gdyż ogromne sumy ulokował w asygnatach salinarnych. Trudność w otrzymaniu gotówki sprawiła, że wielu spekulantów usuwało się z pola, sprzedając swe papiery, a te sprzedaże oczywiście musiały znacznie obniżyć kursa. Wszelako arbitraż skupował skrzętnie wszystko co było wystawione na sprzedaż, to też kursa wróciły znów na wczorajszy poziom. Monety złote i dziś potaniały.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 409·50, węgierskie 470·75, Anglobanki 174·—, Uniony 330·50, Bankvereiny 156·75, Länderbanki 293·50, Ludwiki 221·75, Czerniowieckie 331·—, Elbethale 295·—, Renta papierowa 101·15, srebrna 101·15, austryacka złota 124·25, 4% renta wal. kor. 101·10, węgierska złota 123·95, 4% węgierska renta kor. 99.10, dukat 5·75,— 20-frankówka 9·70½, marki 11·98, ruble 1·30¾.

Wiedeń 27 marca. Spirytus 15·50—15·60.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 29 marca. Także wczorajsza debata nad prowizoryum budżetowem była namiętna i zajęła przeszło 8 godzin.

P. Biankini gwałtownie atakował władze rządowe w Dalmacyi.

Zarzuty jego zbijał minister Plener, poczem wykazał bezpodstawność niektórych wywodów młodoczecha Eima. Na zarzuty p. Schlesingera co do wyuzdanej spekulacyi giełdowej, oświadcza minister, że przyznaje sam i ubolewa wielce nad tem, iż w tej izbie miejscowa giełda jest widownią zgubnej i przechodzącej wszelką miarę spekulacyi, niestety obowiązujące ustawy nie dają rządowi żadnego środka, aby temu złemu skutecznie zaradzić. Za najszkodliwsze uważa minister to, że sama publiczność rzuca się w wir spekulacyi i przez kantory gra na giełdzie.

W odpowiedzi na przemowę p. Eima, który przypomniał p. Plenerowi dawniejsze jego stanowisko jako przewódzcy opozycyi, oświadczył minister, że wcale nie wstydzi się przyznać, iż zaszły w nim zmiany. Od owego czasu, kiedy wspólnie z innymi brał udział w zawarciu punktacyi ugodowych, nie słyszał nikt z ust jego słowa walki lub prowokacyi przeciw narodowi czeskiemu. Koalicyi nie uważa mówca bynajmniej za ostatnie słowo austryackiej historyi, ale gdyby nawet obecna koalicya pod wpływem jakichś zewnętrznych wypadków rozbiła się, to z konieczności będzie musiała znaleść się niebawem podobna koalicya. To leży już w naturze tego państwa, składającego się z tylu różnorodnych żywiołów.

Następnie minister B a c q u e h e m polemizował z wywodami p. Eima i Biankiniego. Stan wyjątkowy w Pradze jest dla młodoczechów wygodnym pretekstem do różnego rodzaju napaści, wszelako mieszkańcy Pragi z pewnością inaczej na ten stan się zapatrują i przypominają sobie o nim chyba wtedy, gdy tu w izbie o nim rozprawiają.

P. M e n g e r odpowiadał na szydercze przycinki opozycyi, wytykające lewicy wstąpienie do koalicyi i wyłuszczał powody, dla których lewica to zrobiła. Z dawnym systemem tworzenia większości od wypadku do wypadku zrobiono bardzo smutne doświadczenia, przez koalicyę zaś stosunki znacznie się poprawiły, co z pewnością nie byłoby nastąpiło bez koalicyi.

Jeneralny mówca *contra* p. L u e g e r mówił naprzód o reformie wyborczej, a ze słów jego przezierało, jakkolwiek wyraźnie tego nie powiedział, że podejrzywa p. Mengera o zdradzenie *Nowej Pressie* tajemnic obrad subkomitetu.

Wywołało to w izbie okrzyki oburzenia, p. Menger nazwał Luegera kłamcą.

W dalszym ciągu swego przemówienia zarzucił p. Lueger stronnictwu liberalnemu cały rejestr rozmaitych grzechów, a między tymi przewleczenie ustawy o swojszczyźnie i opowiedział wypadek, że pewien 12-letni chłopak siedzi już od roku w więzieniu w Neulengbach, ponieważ dwa kraje koronne spierają się o jego przynależność.

Dalej wystąpił mówca przeciw wykroczeniom na giełdzie i nazwał to hańbą, że minister skarbu przyznaje, iż jest bezsilnym w obec notorycznych łotrów, dopuszczających się na giełdzie rozmaitych matactw. Rząd powinien wkroczyć w to natychmiast za pomocą specyalnych ustaw, a przedewszystkiem należałoby wydalić z giełdy pewnych cieszących się zasłużoną opinią żydów węgierskich i niemieckich.

W końcu zwrócił się p. Lueger przeciw ministrowi oświaty drowi Madeyskiemu, któremu znowu przypomniał nominacyę Rosnera, ponownie zarzucał mu, że uprawia system protekcyjny i że na rozmaitych urzędach zatrudnia trzy rody: Rosnerów, Estreicherów i Dunajewskich.

Następnie wśród ogólnej ciszy zabrał głos minister M a d e y s k i, który powiedział mniej więcej, co następuje: Wszędzie, gdziekolwiek ludzie skazani są na wspólne ze sobą życie, jest to zupełnie zrozumiałem, że jeden zostaje przez drugiego napadnięty na ulicy. Myśl o tem, że coś podobnego jest możliwem, wywołuje w każdej jednostce, należącej do ludzkiego społeczeństwa, potrzebę zabezpieczenia się przynajmniej co do swojej osoby i swojej czci. Poczucie tej potrzeby, istniejące zresztą w każdem cywilizowanem społeczeństwie, opiera się z pewnością nie tyle na zewnętrznym przymusie, za jaki uważamy policyę i ustawy karne, jak na wewnętrznem poczuciu przyzwoitości, szanowania siebie samego i godności ludzkiej, wreszcie wzajemnego szacunku, a więc na tych uczuciach, z których składa się obyczajność u ludzi, a które o wiele pewniej działają, aniżeli zewnętrzne środki przymusowe, t. j. prawa, ponieważ te uczucia są dla każdego cywilizowanego człowieka tak wrodzoną potrzebą, iż można na nie zawsze liczyć z całą pewnością.

Całkiem analogicznie ma się rzecz w korporacyi, w której ludzie przeznaczeni są do wspólnego działania dla wzniosłych i wysokich celów. Tutaj uczuwa każdy, iż ma prawo domagać się tego, aby przecież pewna, jego osobę otaczająca sfera życiowa była uważaną jako najściślej osobista własność, będąca dla każdego trzeciego rzeczą cudzą i dlatego nienaruszalną. (Oklaski). Gdzie brak takich wewnętrznych uczuć, które są podstawą poczucia bezpieczeństwa — tam nic nie pomoże żadna ustawa o porządku. (Bardzo słusznie!)

Poseł Lueger powiedział, że myśli on o czasach dawniejszych. Od lat piętnastu zasiadam w parlamencie i w istocie sam myślę bardzo chętnie o czasach dawniejszych i na chlubę parlamentu austryackiego mogę to powiedzieć, że tego rodzaju osobiste wycieczki, jakich przedmiotem jestem ja od szeregu miesięcy z pewnej strony, a mianowicie w organach tych panów i kilkakrotnie już w tej izbie — wycieczki podobne, powtarzam, do niedawna jeszcze nie były możliwe. (Oklaski). Nie będę się tu zajmował treścią zacytowanych przez p. Luegera artykułów dziennikarskich, jakoteż faktów, mających wrzekomo udowodnić stosowaną przezemnie protekcyę.

P. L u e g e r: Dlaczego?

Min. M a d e y s k i: Bo uważam to poniżej mojej godności (huczne brawa i oklaski).

Skąd ja w ogóle przychodzę do tego, abym pozwolił na to, żeby p. Lueger według swego widzimisię z pierwszą lepszą sprawą łączył moje nazwisko? Co dla mnie może znaczyć więcej rodzina Rosnerów lub Estreicherów, niż rodzina innego podwładnego mi urzędnika? Te rodziny mają prawo, abym do nich przykładał tę samą miarę, jaką stosuję do wszystkich innych urzędników (oklaski), nie miarę zewnętrznego przypadku, czy dany urzędnik prędzej lub później na ten świat przyszedł, lecz miarę jego zdolności, zasług i tych zalet osobistych, które według mego sumienia uważam za odpowiednie w interesie służby państwowej i które uwzględniać mam nietylko prawo, ale i obowiązek.

Będę tak postępował pomimo osobistego prześladowania, jakie mnie spotyka, ponieważ nie p. Lueger, nie *Reichspost* i nie *Deutsches Volksblatt* są tymi, którym z nominacyi i awansów podwładnych mi urzędników jestem obowiązany zdać sprawę (oklaski). Nie znam terroryzowania, terroryzm mnie nie zastraszy bynajmniej w wykonywaniu tych obowiązków urzędowych, które przyjąłem na siebie dobrowolnie i na które złożyłem przysięgę (żywe oklaski).

Na tę mowę ministra Madeyckiego, która wywarła głębokie wrażenie, odpowiedział p. Lueger w kilku zdaniach, w których oświadczył, iż w mowie ministra widzi tylko potwierdzenie jego winy, p. Kaizl zaś rzekł, że ubolewa nad tem, że minister zamiast przytoczyć faktyczne dowody, dał izbie tylko socyalistyczną argumentacyę.

Po przemówieniu p. Kaizla zabrał głos p. A b r a h a m o w i c z i założył protest przeciwko nieusprawiedliwionym zarzutom, jakie podniesiono przeciwko min. Madeyskiemu. Do tego protestu czuje on się zobowiązanym, ponieważ Madeyski jest po pierwsze członkiem rządu koalicyjnego, do którego należy również stronnictwo mówcy, i w krótkim czasie zdobył sobie wielkie zasługi około dobra państwa, a po drugie, ponieważ on, chociaż jest ministrem nie przestał być synem swego kraju i wiernym członkiem stronnictwa. Jego głębokie wiadomości, — pilność i zupełna bezstronność zyskały Madeyskiemu ogólny szacunek. Nieuzasadnione zarzuty p. Luegera muszą być stanowczo odparte.

Po dłuższem przemówieniu p. S u e s s a, zabrał głos sprawozdawca p. S z c z e p a n o w s k i i rzekł między innemi: Jeżeli dzisiaj z stronnictwa antisemickiego wyszła napaść na jednego z naszych rodaków, jako na członka rządu, to widzimy w tem tylko dowód, jak niebezpiecznym dla tego stronnictwa i jego interesów wydaje się właśnie Madeyski. Jest to dla nas do pewnego stopnia pochlebnem i możemy być dumni z tego, że takiego człowieka właśnie posiadamy w rządzie. To jest przyczyną, dlaczego całe Koło polskie po tych napaściach jeszcze bardziej solidarnie popierać będzie Madeyskiego, aniżeli to dotąd czyniło.

Prowizoryum budżetowe przyjęto następnie w drugiem i trzeciem czytaniu.

P. Z a l e s k i i towarzysze postawili wniosek, aby polecić komisyi gospodarczej, ażeby w czasie trwania ankiety rolniczo-gospodarczej zbadano także porządek targowy.

Następne posiedzenie w sobotę.

Wiedeń 29 marca. Wczoraj odbyło się świetne przyjęcie u państwa Madeyskich. Byli na niem: hr. Kalnoky, prezes gabinetu ks. Windischgraetz z żoną, p. Kallay z żoną i wszyscy ministrowie przeważnie z żonami. Byli także nuncyusz papieski i wielu ambasadorów i posłów, członkowie obu Izb Rady państwa, dostojnicy dworscy i państwowi, jeneralicya, reprezentanci świata literackiego i artystycznego i najlepszych sfer tutejszego towarzystwa.

Zapowiedziane na dziś posiedzenie komisyi budżetowej nie odbędzie się.

Peszt 29 marca. Sejm węgierski obradował wczoraj nad petycyami o wpisanie zasług Koszuta do zbioru ustaw węgierskich. Na wniosek komisyi uchwalono całą tę sprawę złożyć *ad acta*. Poseł Babo zapowiedział, że na najbliższej sesyi wniesie projekt ustawy, w którym ponowi żądanie o oddanie w ten sposób hołdu zasługom Koszuta. Prezes gabinetu Banffy oświadczył, że jakkolwiek rząd uznaje w pełnej mierze zasługi Koszuta około liberalnego rozwoju państwa węgierskiego, wszelako ze względu na stanowisko jego w obec korony i w obec ustaw węgierskich, nie będzie mógł popierać zapowiedzianego projektu ustawy. Następnie obradowano nad rozmaitemi petycyami, dotyczącemi ruchu narodowościowego na Węgrzech. Hr. Apponyi oświadczył w toku debaty, że stronnictwo jego (narodowe) nie ma nic wspólnego z katolickiem stronnictwem ludowem, a jeżeli akcya ich w sejmie idzie nieraz w tym samym kierunku, to dlatego, że stronnictwo narodowe stoi na straży swobody i czystości wyborów.

Peszt 29 marca. Prezes komisyi wyborczej w Neutrze, Tarnoczy ogłosił w dziennikach oświadczenie, obrażające w wysokim stopniu wszystkich tych posłów, którzy podczas wtorkowej debaty w sejmie atakowali go, omawiając jaskrawe nadużycia, jakie się działy przy wyborze liberalnego kandydata Latkoczy'ego. Dotknięci tem oświadczeniem posłowie: hr. Juliusz Szapary, Pazmandy, Bartok, Juliusz Lukacs i Fernbach posłali Tarnoczy'emu sekundantów. Sprawę z hr. Szaparym załatwiono w ten sposób, że Tarnoczy podpisał deklaracyę, w której oświadcza, że przekonawszy się, iż hr. Szapary podczas wtorkowej debaty ani nie zabierał głosu, ani nie robił obelżywych wykrzykników, odwołuje wyrządzoną mu obrazę i ubolewa nad nią.

Sekundanci czterech innych posłów zażądali, ażeby przedewszystkiem zwołano sąd honorowy, który ma orzec, czy przyjaciele ich mogą się bić z Tarnoczym. Sekundanci Tarnoczy'ego żądali bezwarunkowej satysfakcyi bez zwoływania sądu honorowego, a gdy strona przeciwna na to nie chciała się zgodzić, oświadczyi sekundanci Tarnoczy'ego, że uważają swą misyę za skończoną.

Konstantynopol 29 marca. Ambasador francuski Cambon podczas przejażdżki konnej dostał się między dwa wozy i złamał nogę.

Satonay 29 marca. Prezydent Faure przybył tu wczoraj rano, zwiedził obóz i wręczył chorągiew korpusowi, przeznaczonemu na wyprawę do Madagaskaru. Po przeglądzie wojska odbyło się śniadanie, na którem Faure miał przemowę, w której wysławiał armię francuską.

Wiedeń 29 marca. Wczoraj odbył się wybór uzupełniający pięciu członków Rady miejskiej z trzeciego koła wyborczego.

Dotychczas cztery z tych mandatów były w ręku antysemitów, a piąty z przedmieścia Leopoldstadt był w ręku liberałów. Obecnie zdobyli antysemici i ten piąty mandat, wybrano bowiem samych antysemickich kandydatów.

HOTEL IMPERIAL.
KRZYSZTOF JANOWICZ
Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 28 marca. J. hr. Ehrbenwald z Lipska. K. hr. Scipio z Krakowa. J. Friedlein z Krakowa. Dr. prof. F. Kasparek z Krakowa. W. Ostrowski z Rakowiec. A. Dłuski z Łanowiec. A. Misiągiewicz z Królestwa Polskiego. F Wysocki z Królestwa Polskiego. G. Ziembicki z Malczyc. B. H. Dickinson z Londynu. H. Müller z Debreczyna. M. Sękowska z Stanisławowa.

HOTEL ŻORŻA.
Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 28 marca. Wł. Okęcki i dr. W. Moraczewski z Warszawy. B. hr. Stecki z Nadycza. St. hr. Komorowski z Przeworska. Dr. W. Krzeczunowicz z Janowic. Dr. S. Tiller z Krakowa. G. Jonasz z Wiednia. E. Schliemann z Hamburga.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 29 marca (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 221·— do 224·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 330.— do —·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 450.— do —.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 100·50 do 101·20, 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.70 101·40, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 101·— do 101.70, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 97·70 do 98·40 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 97·80 do 98·50.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 prc. 98·30 do 99·— Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 103.— do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.00 do 102·70 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·50 —·—, 4 pół proc. 100.80 do 101.50, 4 proc. z r. 1891 97.80 do 98·50, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·20 do 98·90.

Monety. Dukat cesarski 5·65 do 5.75, Napoleondor 9.65 do 9.75, Półimperyał 10.10 do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.30 do 1.32, 100 marek niemieckich 59.60 do 60·10.

Wiedeń 28 marca. Notowania wieczorne. Kredyty 409·25, węgierskie kredyty 473.50 anglobank 173.50, bankverein 156.70, unionbank 331.75, länderbank 292.70, staatsbahny 446·50, lombardy 112.25, elbethale 296.—, akcye tytoniowe 249·50, rima 273.75, alpiny 87·00, renta majowa 101.47, węg. renta złota —.—, austr. renta koronna 101.05, losy tureckie 77.50, węg. renta koronna 99·13, marki 60.07, ruble 131.13.

Wiedeń 29 marca (godz. 11 w południ.) Kredyty 407.85, kred. węg. —.—, Anglobanki 173.—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 291.60, Akcye tyton. 249.—, Staatsbahny 442.75, Lomb. (z kup.) 111.75, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —·—, Marki 59.90, Losy tureckie —·—.

Usposobienie słabe.

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.